UCIECZKA ORŁA

PRZED trzydziestu laty, kiedy nad napadniętą zdradziecko Polską szalała zawierucha wojenna i żołnierz polski bohatersko zmagał się z przeważającymi siłami wroga — 18 września 1939 roku Europę obiegła wieść o niesłychanym wyczynie polskich marynarzy. Oto podstępnie internowany w neutralnym porcie estońskim, Tallinnie, okręt podwodny ORP „Orzeł" wymknął się z pułapki!

Przypomnijmy:

W momencie rozpoczęcia działań wojennych we wrześniu 1939 roku — ORP „Orzeł" wraz z „Sępem", „Rysiem", „Żbikiem" i „Wilkiem" stanowiły dywizjon okrętów podwodnych. Pierwsze dni wojny upłynęły okrętom pod znakiem walk w rejonie Zatoki Gdańskiej, a następnie w pobliżu Gotlandu. Na ORP „Orzeł" nastąpiła wówczas poważna awaria. Jednocześnie ciężko rozchorował się dowódca oraz kilku marynarzy.

Ponieważ usunięcie własnymi siłami awarii było absolutnie niemożliwe, a i stan chorych ulegał ciągłemu pogorszeniu — dowódca zdecydował, iż celem naprawy uszkodzenia oraz wyokrętowania siebie i chorych marynarzy, należy zawinąć do neutralnego Tallinna.

Cią dalszy na str. 8

Świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 98 (1882) 9 grudnia 1969 r. Cena 50 gr

Ciekawe

Mazurscy robinsonowie

● Rolnik Antoni Dehring z powiatu Biskupiec jest właścicielem... dwóch wysp na jeziorze Dadaj. Jedną z wysp zagospodarował, łącząc ją mostem z lądem, na drugiej zaś, oddalonej o ćwierć kilometra od brzegu, urządził wzorowe pastwisko. Krowy przyzwyczaiły się do niezwykłej sytuacji i drogę na pastwisko przebywały dwa razy dziennie wpław. Ponieważ pan Dehring jest już w podeszłym wieku, funkcję gospodarza przejęła jego córka.

Białowieskie giganty

● Ostatnia dokumentacja Puszczy Białowieskiej przyniosła wiele ciekawych materiałów porównawczych. W Parku Narodowym znajdują się np. 23 drzewa zaliczane do tzw. pomników natury. Najwyższy jest świerk o wysokości 53 m i obwodzie 370 cm, a najgrubszy dąb — 670 cm. Dalej — dąb wysokości 43 m, sosna 42 m, jesion i olcha 40 m, klon i wiąz po 37 m.

2-letni pływacy

● Pięćdziesięcioro wychowanków żłobka przy zakładach „Eltra" w Bydgoszczy podjęło ostatnio naukę... pływania. Maluchy liczące sobie od 1,5 roku do 3 lat, dwa razy w tygodniu, w krytej pływalni klubu „Astoria" uczą się pływać pod czujną i fachową opieką instruktorów. Mali uczniowie przystępują do ćwiczeń z wielką ochotą.

Korespondencja z NRD

Nowe Centrum i kawa w „Sezamie"

W tym roku, w dniu 7 października, Niemiecka Republika Demokratyczna obchodziła dwudziestolecie swego istnienia. Przygotowania do tej uroczystości trwały przez kilka lat. W samym Berlinie budowniczowie wystawili swojej ojczyźnie najpiękniejszy pomnik: w niespełna trzy lata wybudowali nowoczesną dzielnicę — Centrum Berlina, która stanęła w miejscu starych, zagrzybionych domów, o ciemnych podwórkach-studniach. Domy te wyburzono. Pierwszym fundamentem położonym pod przyszłe Centrum był fundament telewizyjnej wieży — betonowego kolosa, o wysokości 365 metrów. Na wysokości 207 metrów znajduje się siedmiopiętrowa kula, we wnętrzu której mieści się oszklony taras i kawiarnia.

Jak się dostać do „Sezamu"?

Kawiarnia czynna jest od 7 października, a więc zaledwie kilka tygodni. Nic więc dziwnego, że amatorów na „wysokościową" kawę nie brakuje.

C. d. na str. 2

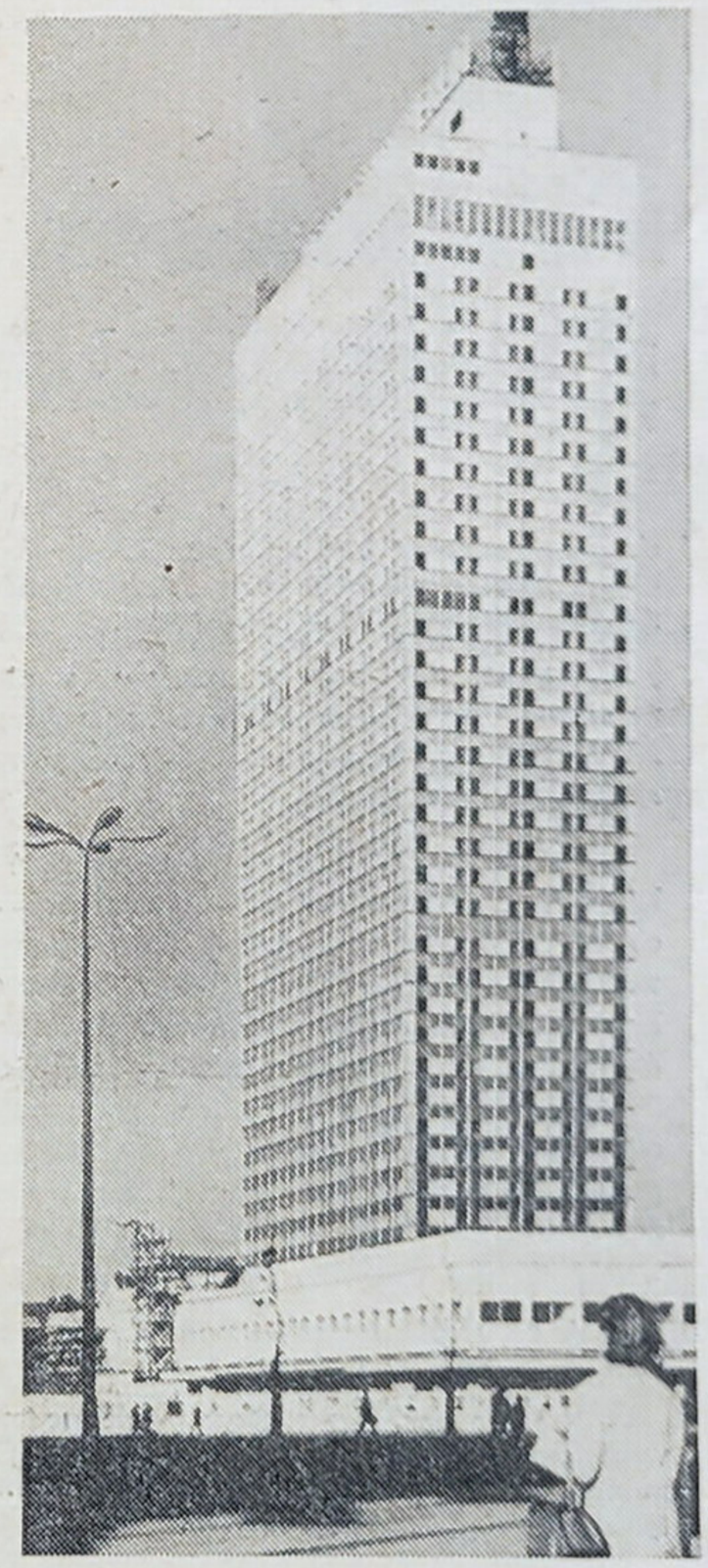

W samym centrum nowej dzielnicy wznosi się smukła sylwetka hotelu „Berlin". Supernowoczesne pokoje mieszczą dwa tysiące gości.

Nowe Centrum Berlina

C. d. ze str. 1

Pada deszcz, tłum ustawiony w kolejkach do wind czeka cierpliwie. Pół godziny stoimy i my: Manuela, Marion, Joachim i ja. Wreszcie mam już dość wody za kołnierzem i pytam, czy nie można by piechotą. Można. Ale do kawiarni wiedzie ponad 900 stopni... Do owego „sezamu" docieramy jednak windą.

Na dworze jest już zupełnie ciemno. W dole rozpościera się czarny aksamit Berlina, wyhaftowany cekinami różnokolorowych świateł. Na mokrym asfalcie jezdni odbijają się złociste smugi samochodowych reflektorów. Do tego nie tkwimy w miejscu. Stoliki ustawione wzdłuż okien, obracają się razem z podłogą, jak na obrotowej scenie w teatrze.

— Po upływie godziny znajdziemy się dokładnie w tym samym miejscu, w którym znajdujemy się teraz — zapewnia Joachim.

— Sprawdzimy — mówię. Szybko wyciągam z notesu kartkę i piszę: „Byliśmy. Wrócimy za godzinę." Kartkę kładę na parapecie, który biegnie wzdłuż okna. Przyciskam ją gumką-„myszką", żeby nie spadła.

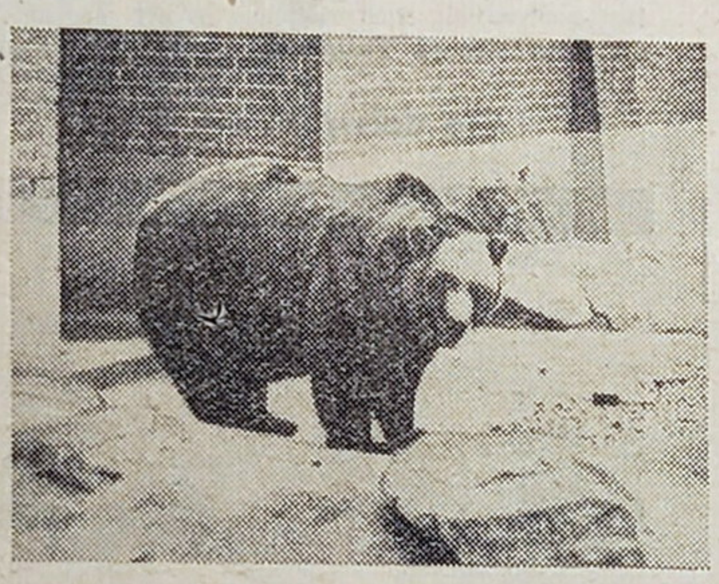

Berlin ma w herbie niedźwiedzia — jako że przed wiekami obecną stolicę porastały prastare bory pełne misiów. W nowoczesnym mieście żywy „herb" stolicy posiada specjalny domek z wybiegiem.

Śmiesznie. Siedzimy w miejscu, a obraz za oknami zmienia się jak w panoramicznym filmie. Nie wiadomo co robić — jeść, patrzeć, słuchać, czy notować...

— W tej kuli, mogłoby się zmieścić 55 lokomotyw „Diesla" — mówi Joachim. — A ciężar całej wieży odpowiada 22 towarowym pociągom o składzie 60 wagonów każdy. Cała zresztą kula, budowana, a właściwie składana była dwukrotnie. Raz — na ziemi. Sprawdzono w ten sposób, czy poszczególne elementy dokładnie pasują. Bo na wysokości ponad 200 metrowej o żadnych poprawkach mowy być nie może! Potem specjalne dźwigi windowały to wszystko po kawałku w górę.

— A co będzie latem — pytam — jak słoneczko przygrzeje przez szybki...

— Nic nie przygrzeje. Szyby okienne mają właściwości pochłaniające i odbijające promienie. Przy tym kawiarnia posiada aklimatyzację — odpowiada Joachim.

To jest właśnie słynna berlińska wieża telewizyjna. Jej wysokość wynosi 365 metrów. Budowę wieży rozpoczęto 4 sierpnia 1965 roku. Oddano ją do użytku w dniu 7 października 1969 roku.

Czas mija szybko. Kiedy podchodzi kelnerka i daje znać, że zostało jeszcze zaledwie pięć minut pobytu, nie chcemy wierzyć, mimo że patrzymy na zegarki.

Bo muszę wyjaśnić, że wykupiony bilet do kawiarni, ważny jest właśnie na godzinę. Zbieramy się więc do wyjścia. Przedtem bezskutecznie szukamy naszej karteczki. Zniknęła razem polską „myszką" w kieszeni jakiegoś hobbysty...

WIESŁAWA MROCZEK
Zdjęcia autorki

Na Placu Aleksandra, w pobliżu wieży, znajduje się niezwykły zegar. Wskazuje on czas jaki mamy jednocześnie na całej kuli ziemskiej. Kiedy robiłam to zdjęcie, w Halifaksie była godzina 7 minut 35. A w Warszawie dochodziła 13,00.

Kariera ptasiej obrączki

W TYM roku mija 70 lat od chwili gdy duński ornitolog Christian Mortensen wprowadził po raz pierwszy obrączkowanie ptaków. Pozwoliło to na bieżąco prześledzić niektóre tajemnice ptasich wędrówek, ich zwyczaje, szybkości przelotu, miejsca zimowania, a przede wszystkim obalić wiele nieprawdziwych przesądów i anegdot wynikających z nieznajomości ptasich obyczajów.

Po 70 latach od wprowadzenia obrączkowania ptaków, choć dysponujemy znacznie większym zasobem środków technicznych stosowanych w ornitologii, jak np. miniaturowe nadajniki radiowe, radar itp. obrączka aluminiowa zakładana jest nadal na nóżki ptasich wędrowców, stanowiąc powszechny i niezawodny sposób badania.

Dzięki obrączkowaniu prześledzono dokładnie trasy lotów małych wędrowców. Oto np. popielata rybitwa, gnieżdżąca się za kołem polarnym na Północy odlatuje na zimę w okolice Bieguna Południowego pokonując w jedną stronę trasę kilkunastu tysięcy kilometrów i to zaledwie w ciągu kilku tygodni. Jednym z najszybszych ptasich wędrowców okazał się... brodziec płowy, który — jak stwierdzono — trasę ponad 3 tys. km przelatuje zaledwie w ciągu 6 dni.

Podobnie jak w większości państw, również i w Polsce działają stacje ornitologiczne, zajmujące się obrączkowaniem ptaków i śledzeniem ich wędrówek. Stacja ornitologiczna Instytutu Zoologicznego Polskiej Akademii Nauk w Górkach Wschodnich koło Gdańska odgrywa tu czołową rolę, obrączkując rocznie wiele gatunków ptaków i prowadząc na bieżąco badania z zakresu ich lotów. Do niej też należy odsyłać wszystkie znalezione obrączki, zarówno polskie, jak i obcego pochodzenia.

Do obrączkowania ptaków w Polsce używa się 9 rodzajów obrączek aluminiowych. Największe z nich oznaczone symbolem „A" służą do obrączkowania ptaków dużych, jak łabędzie, dzikie gęsi, drop ie. Najmniejsze ptaszki — mysikróliki czy raniuszki obrączkuje się maleńkimi obrączkami typu „J".

Przygoda w powietrzu

GDZIE JEST TRZECI?

WYPADEK ten zdarzył się na Krymie podczas skoków spadochronowych. W samolocie, oprócz pilota i instruktora, znajdowali się młodzi spadochroniarze — skakali drugi raz w życiu.

Pokład samolotu opuściła już pierwsza piątka. Kolejny krąg — druga piątka. Jeden, drugi... gdzie trzeci? — Pilot spojrzał na przyrządy. Wysokość 800 metrów, prędkość 140 kilometrów na godzinę. Wyskoczył już czwarty, piąty a gdzie u licha jest trzeci?

Trzeci — Wadim Rudenko — wisi na linie wiążącej go z samolotem. Instruktor przekazuje chłopcu sygnał — wyciągnij nóż, odetnij sznur i otwórz zapasowy spadochron. Ale Wadim Rudenko nie reaguje.

Instruktor chwycił wówczas za linę, na której zwisał młody spadochroniarz i zjechał mu na plecy. Objął go w pół, nakazując przeciąć linę i w swobodnym opadaniu otworzył spadochron Rudenki.

Upewniwszy się, że wszystko przebiega prawidłowo, instruktor otworzył swój spadochron. Po chwili szczęśliwie obaj wylądowali na ziemi.

ToMiK

Jak powstał Wszechświat?

BLISKO 40 LAT TEMU powstała niezwykła hipoteza o powstaniu Wszechświata jako całości, tzw. teoria **praeksplozji.** Odkryto wówczas, iż galaktyki — ogromne zbiorowiska gwiazd, podobnych do Układu Drogi Mlecznej — wydają się oddalać od siebie. Niektórzy astronomowie doszli wtedy do wniosku, że „rozbieganie się galaktyk" jest rezultatem jakiejś praeksplozji, z której powstał Wszechświat. Podczas tego „wielkiego wybuchu", pramateria zagęszczona w jednym miejscu, w ciągu kilku sekund przeobraziła się w pierwiastki chemiczne.

Hipoteza o rozbieganiu się galaktyk, a więc o rozszerzającym się Wszechświecie, od samego początku była podważana przez uczonych. Po pierwsze, nie wiadomo na pewno, czy Wszechświat rzeczywiście rozszerza się. Poza tym zwrócono uwagę, że rozszerzanie się Wszechświata może być fragmentem odwiecznego procesu oscylacji, to jest rozszerzania się i kurczenia. Wreszcie inni uczeni zauważyli, iż to, co się rozszerza, jest zapewne fragmentem Wszechświata. W innych jego obszarach może zachodzić proces akurat odwrotny.

W ostatnich latach astronomowie i fizycy amerykańscy dostarczyli bardziej konkretnych danych, z których zdaje się wynikać, iż hipoteza praeksplozji nie może być zadawalającym wytłumaczeniem przeszłości Wszechświata.

Jednym z burzycieli tej hipotezy jest dr Allan Sandage, młody astronom z obserwatorium na Mount Palmar i Mount Wilson.

ILE LAT MA WSZECHŚWIAT?

Dr SANDAGE wypatrzył w otchłaniach Układu Drogi Mlecznej gromadę gwiazdową, oznaczoną symbolem NGC 188, która ma prawdopodobnie 24 miliardy lat. W ten sposób młody uczony zadał zwolennikom praeksplozji pierwszego „klina". Dotychczas bowiem sądzono, że w Układzie Drogi Mlecznej — do którego i my należymy razem z naszym Słońcem — nie ma gwiazdy starszej niż 5 miliardów lat. Co gorsza, z hipotezy praeksplozji wynika, że najstarsze galaktyki w całym Wszechświecie nie mogą mieć więcej niż 9 do 13 miliardów lat.

Zwolennicy teorii „wielkiego wybuchu", śledząc przez teleskopy odległe galaktyki, obliczyli (w oparciu o analizę spektralną ich światła) prędkość „rozszerzania się" Wszechświata. Doszli przy tym do wniosku, że skoro obecnie wszystkie galaktyki oddalają się od siebie, niczym grochy na powierzchni nadymanego balonika, to kiedyś znajdowały się w jednym miejscu. Obliczyli także, iż „eksplozja", która rozerwała ów ściśnięty Wszechświat, nastąpiła właśnie 9—13 miliardów lat temu.

A tu dr Sandage mówi, że gromada gwiazdowa NGC 188, oddalona od Ziemi o 3000 lat światła (w kierunku Gwiazdy Polarnej), ma 24 miliardy lat! Wiek odkrytej gromady określił Sandage badając stopień wypalenia się wodoru w gwiazdach tego skupiska. Uczony stwierdził, że część z nich bardzo poważnie się już „wypaliła". Straciły one 18 procent wodoru, głównego ich budulca. Dla porównania: Słońce, które według obliczeń ma 5 miliardów lat, wypaliło tylko 5 procent swego wodoru.

Jeśli więc obliczenia Sandage wytrzymają wszystkie krytyczne analizy, trzeba będzie ostatecznie odłożyć do lamusa hipotezę praeksplozji.

WIECZNY WSZECHŚWIAT

ODKRYCIA SANDAGE'A przemawiają wyraźnie za teorią, głoszącą, że Wszechświat nie miał początku i nie ma końca, a materia podlega wiecznym przeobrażeniom. W takim Wszechświecie jedne światy powstają inne giną, gwiazdy-staruszki sąsiadują z zupełnymi jeszcze „niemowlętami" a umierając dają początek nowym rodzajom materii. Wszechświat może się rozszerzać, ale mimo to jest „stacjonarnym": ekspansję galaktyk równoważy ciągłe powstawanie nowych skupisk gwiazdowych z pyłu kosmicznego. Krótko mówiąc — wieczny Wszechświat. **(St. B.)**

Wielka mgławica spiralna w gwiazdozbiorze Andromedy. Podobną budowę posiada również nasza Galaktyka, czyli Układ Drogi Mlecznej, do której należymy razem ze Słońcem.

KĄCIK KORESPONDENTÓW

UWAGA, w ToMiK-u zamieszczamy adresy tylko tych czytelników, którzy pragną prowadzić korespondencję na tematy z dziedziny astronomii i astronautyki.

RYSZARD SZYMAŃSKI — Ursus k/Warszawy, ul. Sobieskiego 26/1 oraz MIROSŁAW WOŹNICA — również Ursus k/Warszawy, ul. Sobieskiego 21/22 — pragną korespondować na temat możliwości życia we Wrzechświecie.

BOGDAN MANAJ — Wrocław 8, ul. Grudziądzka 69/8 — temat: ogólnie Wszechświat. Na tematy ogólne z astronomii i astronautyki pragnie również korespondować JOLANTA SMOLEŃ — Gorzów Wlkp., ul. Łazienki 1/3.

ZBIGNIEW WYPYCH — Olkusz, Hotel OPB, ul. Jana Kantego 4. Temat: możliwość odkrycia nowej cywilizacji w najbliższej przyszłości.

STANISŁAW ŁUKOŚ — Bestwina 27, pow. Bielsko-Biała. Temat: ogólnie wszystkie sprawy z astronomii i astronautyki.

IWONA TABIN — Gliwice, ul. Malinowskiego 2/4 — pragnie korespondować na tematy pozaziemskie.

PODRÓŻE DO GWIAZD

(Ciąg dalszy dyskusji)

JESTEM ZWOLENNIKIEM dalszego i nieograniczonego badania Wszechświata. Ludzkość na pewno nie zakończy badań na Układzie Słonecznym, bo właśnie to byłoby nonsensem. Kiedy za ileś tam miliardów lat zapasy energetyczne na Słońcu wykończą się, wtedy „na łeb na szyję" poszukiwać będziemy nowych „układów słonecznych", które by odpowiadały warunkom życia ludzkiego.

Druga sprawa, którą chcę poruszyć — to czas trwania podróży. Oczywiście, przy obecnych rodzajach napędu chemicznego i jądrowego (w niedalekiej przyszłości), nie można mówić o osiąganiu prędkości podświetlnych i podróżach do gwiazd... Dopiero, gdy stworzony zostanie napęd fotonowy będzie można rozwijać prędkości rzędu 0,999 c (c — prędkość światła), a wówczas lot w kierunku „jakiejś tam" gwiazdy trwać będzie niedługo. To co, że po powrocie z tej podróży astronauci zastaną swych synów fizycznie starszych od siebie? Lecąc w tę podróż zgadzali się na to, że po powrocie nie zastaną swych bliskich (a może uda się pokonać wymiar czwarty — czas?). Możliwe też jest, że problem ten zniknie, gdy lekarzom uda się przedłużyć życie ludzkie, a wtedy loty do gwiazd staną się po prostu „zwykłymi wyjazdami marynarzy w rejs"...

Model statku kosmicznego o napędzie jądrowym. Takimi statkami będzie można realizować wyprawy w kierunku planet Układu Słonecznego.

Tadeusz Zysk
Bydgoszcz, ul. Kwiatowa 1/1

PS. Koresponduję z koleżanką z Japonii — w sprawie lotów międzygwiezdnych — ona również ma to samo zdanie, co ja.

Szanowny ToMiK-u

UWAŻAM, że zajęte przez Witka Sroczyńskiego stanowisko jest dyskusyjne. Niewątpliwie astronauci po dłuższym pobycie w kosmosie będą mieli poważne trudności z zaaklimatyzowaniem się w nowej dla nich cywilizacji. Dlatego uważam, że dalekie załogowe loty powinny być prowadzone tylko przy pomocy statków o szybkości podświetlnej (przyjmując, że tej ostatniej nie da się przekroczyć). Zakładam, że ludzkość zamieszkiwać będzie wtedy tylko Układ Słoneczny. Gdyby nastąpiła ekspansja ludzkości w głąb Galaktyki, sprawa lotów kosmicznych z dala od Układu stanęłaby w innym świetle.

Nie zgadzam się też z tezą, że zamiast lokować tyle pieniędzy i wysiłków w lotach kosmicznych, lepiej użyć je na nie rozwiązane jeszcze problemy na Ziemi. Gdyby zdecydowano się na całkowite i powszechne rozbrojenie, starczyłoby pieniędzy i środków na zlikwidowanie głodu.

Wracając zaś do sprawy lotów do gwiazd należy stwierdzić, że pewnym kompromisowym rozwiązaniem mogą być loty z załogą złożoną z automatów.

Włodzimierz Michałowski
Łódź,
ul. Wojska Polskiego 74

PASJONUJĄCY PROBLEM podróży do innych układów gwiazdowych — poruszony przez Witka Sroczyńskiego — rozpalił wyobraźnię licznych czytelników ToMiK-a. Otrzymałem setki listów, polemizujących ze stanowiskiem Witka. Zdecydowana większość dyskutantów (ponad 90 proc.) uważa, iż nic nie może powstrzymać dążenia ludzkości do poznawania otaczającego nas świata.

Absolutnie zgadzam się z tym stanowiskiem. Nie można sobie wyobrazić, aby społeczeństwo na pewnym etapie swojego rozwoju powiedziało: DOSYĆ! — DALEJ ANI KROKU! Przecież przeczyłoby to logice, a w konsekwencji doprowadziło do cofania się. Zresztą takie momenty zdarzały się w naszej historii, np. okres średniowiecza, co więcej — nikt nie jest dziś w stanie przewidzieć, czy w przyszłości również nie nastąpi jakieś zahamowanie w rozwoju cywilizacji ziemskiej.

Wydaje mi się jednak, iż w rozważaniach o przyszłości trzeba być optymistą, trzeba wierzyć w potęgę rozumu. Wprawdzie, oprócz genialnych posunięć, będą zdarzały się i nonsensy, ale wypadkowa tej różnorodnej działalności człowieka będzie prowadziła do coraz nowych odkryć i osiągnięć.

Dziękuję wszystkim za udział w dyskusji i zapraszam do następnej, która rozpocznie się w przyszłym roku.

Prezes ToMiK-a

Czy mógłbym się czegoś dowiedzieć o Stanisławie Grzesiuku, autorze trzech ładnych książek. Może mógłby Pan Redaktor napisać artykuł o Grzesiuku. U nas w klasie bowiem jest on powszechnie lubiany. Każdy lubi czytać jego książki i słuchać jego płyt. Mógłby Pan też w artykule umieścić zdjęcia Stanisława Grzesiuka lub słowa piosenek, których nie ma na jego dwóch płytach.

Stasiek

Stanisław Grzesiuk.

BOSO, ale W OSTROGACH

MAŁE CIASNE podwórka, odrapane oficyny o wąskich sieniach. Dozorczyni szastająca miotłą po „kocich łbach" i woziwoda oferujący mieszkańcom świeżą wodę za 5 groszy od wiadra. Ochrypłe wołanie śmieciarza: „Szmaty kupuję', zawiany głos dorożkarza śpiewającego: „Bujaj się Fela, bo jutro niedziela"... I zgiełk lunaparku z karuzelą, diabelskim młynem i muzyczką kataryniarza...

Do lunaparku chodzili chłopaki w kolorowych szalikach i czapkach zsuniętych zawadiacko na ucho. Zapraszali dziewczyny, które piszczały z uciechy, gdy kawaler zafundował przy budce wodę sodową.

Na deskach zabawa — polka „galopka", sztajerek, walczyk warszawski i piosenki: „U cioci na imieninach", „Dziś panna Andzia ma wychodne", czy też „W Saskim Ogrodzie koło fontanny"... Oto obraz przedwojennej Warszawy i życia biedoty warszawskich przedmieść.

Honorn'e i z fasonem

NIEDAWNO w teatrze Powszechnym w Łodzi odbyła się prapremiera przedziwnego spektaklu pt. „Boso, ale w ostrogach"— w reżyserii Romana Sykały. Odżyły na scenie zapomniane podwórka, uliczki, lunaparki. Chłopaki w kraciastych szalikach śpiewali apaszowskie piosenki, „rozgrywali" na pięści koleżeńskie porachunki oraz honornie i z fasonem zalecali się do dziewcząt. Rej wśród nich wodził jeden — nieduży, szczupły blondynek — Stasiek albo jak kto woli, „Kozak", bo tak zwało go podwórko i cała ulica Tatrzańska.

W środowisku Staśka byli tacy sami jak on chłopcy, bez szkoły, pracy, bez żadnych perspektyw na przyszłość. Tworzyli w swojej dzielnicy zgraną, solidarną paczkę. Złączeni wspólną biedą nienawidzili maminsynków, gardzili arystokracją i sami walczyli dla siebie o prawa i przywileje.

Stasiek z Czerniakowa

ROZMAWIAM z odtwórcą głównej roli, aktorem łódzkiego teatru — Michałem Szewczykiem.

— Sceniczna postać Staśka to oczywiście autentyczny Stanisław Grzesiuk z warszawskiego Czerniakowa. To właśnie on, w autobiograficznej książce pt. „Boso, ale w ostrogach" zawarł cały koloryt tamtejszego świata i własnych młodzieńczych przeżyć na warszawskim bruku.

Przyjmując propozycję zagrania roli Staśka — mówi dalej aktor — zdawałem sobie sprawę z pewnych trudności w odtworzeniu tej postaci. Wszak jest to bohater autentyczny, ktoś kto żył wśród nas w nie tak dalekiej przeszłości. A jednak to już historia, bo nie ma dziś takiej Warszawy, jaką przedstawiał Grzesiuk w swej książce. I nie ma też takich ludzi, ich obyczajów dyktowanych przez warunki i środowisko, w jakim żyli.

Aktor Michał Szewczyk w spektaklu „Boso, ale w ostrogach" odtwarza rolę Grzesiuka.

Dużo pracowałem nad rolą. Chciałem prawdziwie i szczerze ukazać tę postać, tak jak szczery i autentyczny był Grzesiuk. Pomógł mi nieco fakt, że sam w dzieciństwie wychowywałem się na Bałutach — niegdyś peryferiach Łodzi — i miałem wiele podobnych przeżyć.

w ostrogach", „Pięć lat kacetu" — wstrząsający dokument z lat przebytych w obozach hitlerowskich — i książkę ostatnią — **„Na marginesie życia"**, w której pisze o swojej nabytej w obozach chorobie i o wędrówkach po różnych sanatoriach.

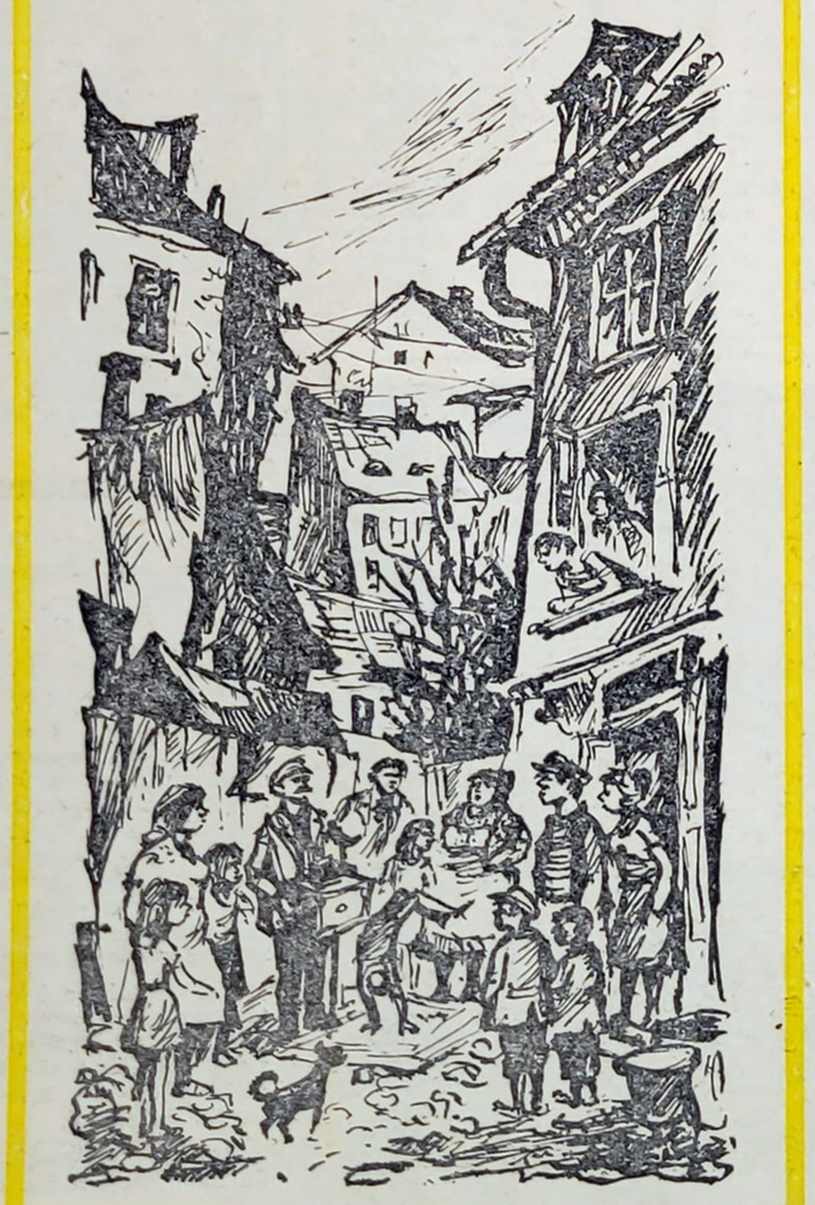

Pieśniarz Warszawy

GRZESIUK był nie tylko doskonałym kronikarzem własnej epoki, środowiska przedwojennej warszawskiej biedoty, ale także pieśniarzem swego miasta. To właśnie on uchronił od zapomnienia warszawskie szlagiery, które dziś śpiewa Jarema Stępowski. Jarema jest zawodowym aktorem i jedynie „naśladuje" styl śpiewania dawnego warszawskiego cwaniaka, a Grzesiuk śpiewał tak, jak umiał i czuł. Przekazywał ludziom piosenki, które pamiętał i znał z własnego, autentycznego środowiska. Był utalentowanym amatorem. Grał na bandżoli i śpiewał nieco ochrypłym głosem. Takim poznała go także Warszawa powojenna, odbudowana i nowoczesna.

Jako pieśniarz Warszawy Grzesiuk zadebiutował w radiowym „Podwieczorku Przy Mikrofonie". Publiczność przyjęła go niezwykle serdecznie. Odtąd śpiewał już stale w radio, na estradzie i na innych koncertach rozrywkowych.

Warszawiacy znali charakterystyczną postać Grzesiuka, jego kraciastą czapkę, szalik i niepowtarzalny głos o swoistym warszawskim akcencie. Grzesiuk stał się osobą bardzo popularną. Nagrał dwa long-playe: „Nie masz cwaniaka nad warszawiaka" i „Piosenki warszawskiej ulicy".

Wydał także trzy autobiograficzne książki. Wspomnianą już powieść o latach młodzieńczych — **„Boso, ale**

Jaki był Grzesiuk na co dzień

ŻONA Stanisława Grzesiuka, którą wraz z synem Markiem poznałam na premierze spektaklu w Łodzi — zaprosiła mnie na rozmowę do swego warszawskiego mieszkania. Tego samego mieszkania, w którym mieszkał po wojnie Grzesiuk i z którego po raz ostatni powędrował do szpitala. Już tu nie wrócił. Pozostały po nim książki, płyty i fotografie. Także bandżola, kraciasty szalik i czapka — sceniczne rekwizyty.

— Nie znałam męża z okresu jego czerniakowskiej młodości, mimo że mieszkałam w tej samej dzielnicy — mówi żona Grzesiuka. — Wiem jednak, że wszystko, co opisał w książce, jest prawdziwe. Tak rzeczywiście wyglądały niegdyś ulice, domy i ludzie. Staśka nazywano „Kozakiem", bo był odważny i zawsze bronił słabszych.

— Pyta pani, jaki był mój mąż na co dzień? Chyba ta piosenka z teatru, śpiewana przez jego ojca:

„Honornie, synu, z fasonem, synu,
Nie zginaj karku na żadnych progach,
Żyj tak, byś sobie mógł się podobać,
Boso idź synu, ale w ostrogach",

była rzeczywiście jakimś jego życiowym przykazaniem. Był twardy i bezwzględny dla ludzi złych, a serdeczny i wrażliwy dla tych, którzy potrzebowali pomocy. Pamiętam, jak zaraz po naszym ślubie, mieszkaliśmy w suterenie i nie mieliśmy nic. Jeden z kolegów podarował nam dwa krzesła, jako zaczątek naszego umeblowania. Tego samego dnia odwiedził nas drugi kolega, równie biedny jak my. Mąż tylko spojrzał na mnie, a ja już wiedziałam, że jedno z naszych krzeseł otrzyma w prezencie kolega. I tak się stało...

Grzesiuk przeżył pięcioletnią katorgę obozową. Pięć lat nieustannej walki o życie. Był w Dachau, w Mauthausen, w Gusen, tylko swojemu optymizmowi i odporności psychicznej zawdzięczał to, że przeżył. Ustawał go także specyficzny humor, odzwierciedlony w jednej z piosenek przez niego śpiewanych: „Nie masz cwaniaka nad warszawiaka". Właśnie w Gusen, najcięższym z obozów, zdobył gdzieś bandżolę i stworzył zespół muzyczny. Grał i śpiewał z kolegami obchodząc wszystkie bloki. Swym humorem dodawał więźniom otuchy. Dzielił się z nimi nie tylko obozową zupą i chlebem, obdarzał ich także uśmiechem i warszawską piosenką.

— Kiedy wspomnę ojca, to widzę go zawsze wesołego i pogodnego — opowiada Ewa, córka Grzesiuka. — Często chodziliśmy razem ulicami Warszawy. Ojciec brał mnie z sobą, gdy spotykał się w kawiarni z różnymi ludźmi. Omawiał z nimi plany swych występów estradowych, nowych książek, mówił o piosenkach, które opracowywał. Gdy patrzyłam na niego i wiedziałam jaki był ożywiony i wesoły, to nie wierzyłam, że może być beznadziejnie chory.

Grzesiuk zmarł w styczniu 1963 roku. Pozostały zanotowane przez niego, nagrane i ocalone od zapomnienia warszawskie piosenki, a także książki opisujące dawne życie warszawskiego przedmieścia, które przeszło już do historii.

ALICJA WIELGOŁAWSKA
Foto: Piotr Jaskow

Żona i syn Stanisława Grzesiuka przed frontonem Teatru Powszechnego w Łodzi, gdzie odbyła się prapremiera sztuki „Boso, ale w ostrogach".

KW

NASZA DYSKUSJA o pracy społecznej rozpętała przysłowiową burzę. Stale napływają do Klubu Nastolatków nowe wypowiedzi. Z braku miejsca nie możemy wykorzystać wszystkich listów. Zgodnie z waszym życzeniem, pragniemy rozszerzyć dyskusję o wypowiedzi ludzi dorosłych.

Dziś drukujemy dalsze wypowiedzi o pracy społecznej. Zabiera również głos zaproszony przez Klub Nastolatków — JERZY KLIMA — SEKRETARZ KOMISJI DO SPRAW DZIECI I MŁODZIEŻY PRZY SEKRETARIACIE OGÓLNOPOLSKIEGO KOMITETU FRONTU JEDNOŚCI NARODU.

PRACA SPOŁECZNA NA CENZUROWANYM

Nauczył nas pracować

NASZYM wychowawcą w szkole podstawowej był p. Kazimierz Romanowski. On właśnie nauczył nas pracować społecznie, umiał ocenić pracę każdego, cieszył się razem z nami jej wynikami. Sam na równi z uczniami stawał do pracy. Jemu zawdzięczamy, że prace społeczne były dla nas przyjemnością.

Antoni Sz.
ze wsi Kozieglowy

To również praca dla siebie

NASZA KLASA bardzo chętnie bierze udział w pracach społecznych. Mieszkamy na Śląsku. Panorama naszych okolic — to lasy stale dymiących kominów — taki jest prawdziwy obraz Zagłębia Górniczego. Musimy sadzić drzewa, nie tylko dla upiększenia miasta, ale i dla zdrowia. Robimy to społecznie, dla nas samych. To, co się zmienia wokół nas, jest dla nas najlepszą nagrodą.

Inez Koloch
Radzionków III.

Czy są silniejsi?

WIELU LUDZI ciężko pracuje zawodowo, a ponadto społecznie.

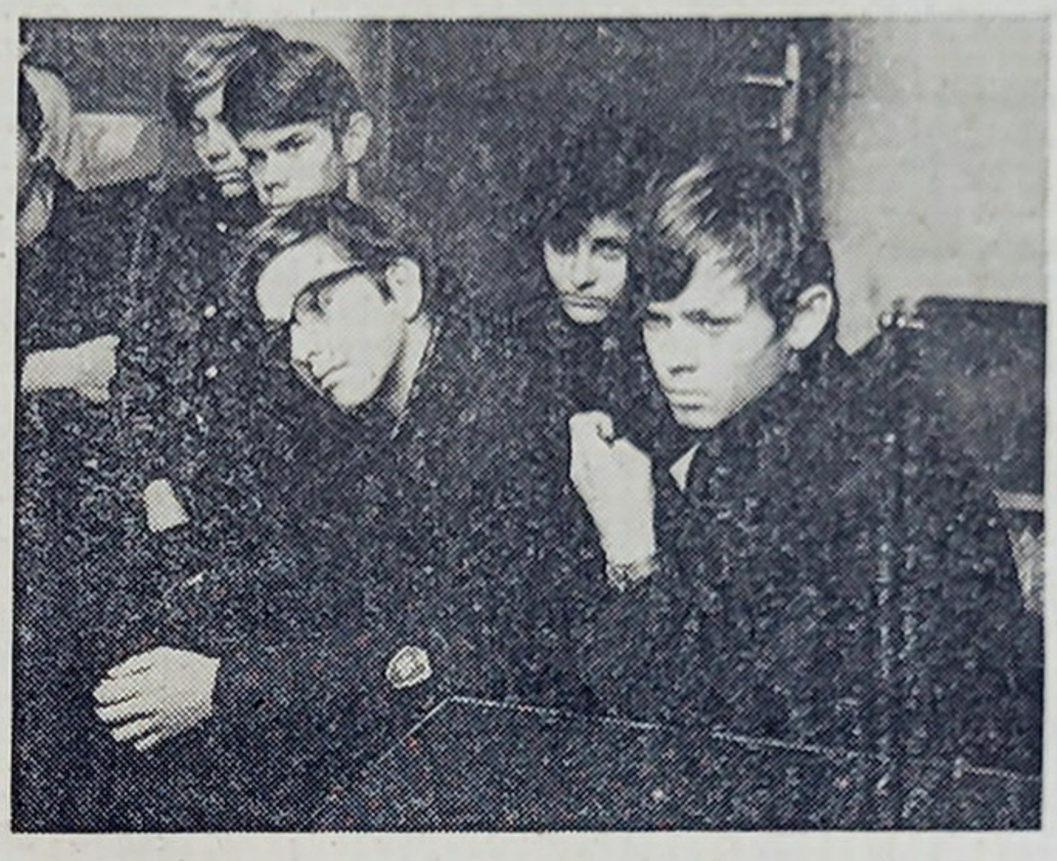

Ale są tacy, którzy za cel stawiają sobie niszczenie czegoś, tak — dla „draki". To przez nich dworce kolejowe wyglądają jak śmietniki, to oni wycinają na drzewach inicjały, specjalnie chodzą przez trawniki, chociaż obok jest droga. Cieszą się, gdy „draka" im się uda. Inni patrzą na łobuzów i nic nie mówią. Czasem ktoś przeklnie pod nosem, ale nie za głośno, bo a nuż łobuz usłyszy? Oni są silniejsi od nas i, chociaż nie mają racji, robią, co im się podoba.

Krzysztof
z Warszawy

Już raz pracowali

KIEDY naszej klasie zaproponowano pracę w ogródku szkolnym, zgłosili się do niej wszyscy. Nawet się zdziwiłem, że tak chętnie chcą pracować społecznie.

Kiedy jednak za kilka dni padła propozycja uprzątnięcia terenu szkoły, wszystkie klasy pracowały z ochotą — prócz naszej. Koledzy moi uważali, że tym razem już nie muszą nic robić, bo „przecież napracowali się już społecznie przy kopaniu ogródka". Odrobili to, co do nich należało.

Tomek
z Warszawy

A nam się opłaca!

NAM praca społeczna się opłaca. Mieszkamy we wsi Dylągowa. Mamy dwie szkoły zbudowane zaraz po wojnie. Dawniej we wsi nie było żadnego boiska. Teraz są dwa duże boiska zbudowane w czynie społecznym. Wartość jednego z nich wynosi 50 tysięcy złotych, a drugie też przedstawia sporą wartość. Ale nie o pieniądze tu chodzi. Ważne jest, że udało nam się to zrobić.

Wybudowaliśmy też we wsi studnię oraz kładki na rzece Dylągówka. Postawiliśmy też pomnik na grobie Nieznanego Żołnierza. Wraz z robotnikami z Zarządu Dróg braliśmy udział w budowie nowej drogi. Moglibyśmy przytoczyć wiele innych przykładów pracy społecznej

Nam się ona opłaca, bo własnymi rękami zbudowaliśmy obiekty, które przynoszą pożytek wszystkim mieszkańcom wsi.

Jolanta
wraz z rówieśnikami
ze wsi Dylągowa

CO NAZYWAMY PRACĄ SPOŁECZNĄ?

PASŁĘK to małe miasto w województwie olsztyńskim. Powiatowa Rada Przyjaciół Harcerstwa uznała, że bardzo przydałby się stały ośrodek szkoleniowo-wypoczynkowy dla młodzieży szkolnej. Nie żadne pałace, ale kilkanaście domków drewnianych postanowiono zbudować nad jeziorem, w pobliżu miasta.

Nie było jednak pieniędzy, materiałów i — jak to się mądrze nazywa — siły przerobowej. Rada zwróciła się z apelem do wszystkich mieszkańców powiatu. Apel poparł Powiatowy Komitet PZPR.

Architekci wykonali po godzinach pracy plany. Za darmo. Zarząd Dróg oddał drzewa rosnące przy szosie. Bezpłatnie. Robotnicy PGR i pracownicy leśnictwa je ścięli. Po pracy. Traktorzyści zawieźli te drzewa do tartaku, a tam pocięto je na deski. W tym czasie dorośli i młodzież przygotowywali plac budowy, kopali fundamenty...

Każdego dnia po południu dorośli, młodzież i dzieci budowali **swój** ośrodek.

Niektóre jednak prace mogą wykonywać tylko fachowcy, więc jednej niedzieli zjechali z całego powiatu szklarze, zdunowie i dekarze.

Od dwóch lat ośrodek stoi, każdego lata przybywa tam kilkuset uczniów i na ciekawych zajęciach uczy się samodzielności i samorządności. Ale myślę, że najwięcej nauczyli się wszyscy podczas samej budowy.

To był prawdziwy czyn społeczny wykonany z myślą o dzieciach całego powiatu przez wszystkich mieszkańców powiatu.

Takim czynem społecznym, przez wiele lat wykonywanym przez cały naród, była odbudowa Warszawy.

Myślę, że nie ma chyba miejscowości w Polsce, gdzie nie można by pokazać czegoś i powiedzieć: to właśnie wykonali mieszkańcy w czynie społecznym.

Wartość czynów społecznych wykonanych w Polsce, w 1968 roku szacuje się na 5.828.3[illegible]000 zł

O blisko 6 miliardów złotych społeczeństwo nasze stało się więc zamożniejsze dzięki pracy społecznej przez siebie wykonanej.

Czy każda pomoc udzielona kolegom jest pracą społeczną? Nie. Przecież odwiedzenie chorego kolegi jest po prostu wyrazem przyjacielskiego do niego stosunku. Pomoc w odrabianiu zaległych lekcji jest koleżeńskim obowiązkiem. Praca społeczna — to wykonanie zadania z myślą o zaspokojeniu potrzeb określonej grupy ludzi: szkoły, mieszkańców domu, ulicy a czasem powiatu czy całego kraju.

Pracą społeczna jest więc wyrazem naszej postawy obywatelskiej i stanowi ważny przejaw w życiu społecznym.

W „Świecie Młodych" od kilku tygodni trwa dyskusja o pracy społecznej. Ciekawa, świadcząca o tym, jak ważna to sprawa. Czytelnicy piszą o swych doświadczeniach i spostrzeżeniach różnie: o satysfakcji, jaką przyniosło wykonanie potrzebnej roboty, o zniechęceniu, — wobec braku poparcia ze strony kolegów, o złej organizacji — kiedy to większość się obijała, bo nie miała potrzebnych narzędzi do pracy.

Kiedy najłatwiej zachęcić kolegów do pracy społecznej? Wtedy, gdy wybierzemy taki cel, który dla wszystkich jest oczywisty. Ten, kogo uwiera gwóźdź w bucie (jeśli jest normalnym człowiekiem), bierze młotek i gwóźdź zagina. Zamiast każdego dnia brodzić w błocie po kolana, lepiej jest wspólnym trudem zrobić drogę do szkoły.

Zanim więc wystąpisz z propozycją jakiejś pracy społecznej, zorientuj się, czy potrzeba wykonania proponowanego zadania jest właśnie dla wszystkich oczywista i zrozumiała.

Kiedy praca społeczna się uda? Wtedy, gdy będzie dobrze zorganizowana, jeśli każdy będzie wiedział, co ma robić! I jeśli będzie doprowadzona do końca.

JERZY B. KLIMA

ANATOLIJ ALEKSIN

BARDZO STRASZNA HISTORIA

Opowieść kryminalna, którą napisał Alik Dotkin

6.

KLASA BYŁA już prawie pusta. Tylko Gleb, zgarbiony, siedział dalej w ławce. Obok stał Dativus.

Ninel Fiodorowna podeszła do nich. Ja zrobiłem to samo.

— Postanowiliśmy wybrać się do starej willi — powiedziałem. — Którejś najbliższej niedzieli. Dopóki mamy jesień. Czy chcesz być naszym przewodnikiem, Glebie?

— Bardzo proszę... Jeśli, oczywiście, pani... Ja bardzo chętnie... — znów nie domawiał zdań do końca.

W korytarzu zatrzymała mnie Natasza Kułagina. Był to przypadek tak rzadki, że dosłownie przyprawił mnie o drżenie.

— Gdybym była na twoim miejscu, to bym się w niej zakochała — rzekła. I popatrzyła na mnie tak badawczo, że nagle olśniła mnie myśl: „Chce mnie wybadać! Jest zazdrosna!..."

— Zakochać się? — powtórzyłem zbyt głośno. — Co ty mówisz? Na jakiej podstawie?...

— To znaczy, że nie masz gustu. Ona jest czarująca.

„A może naprawdę chce, żebym się zakochał? Może jej na mnie nie zależy?" — Z tą przygnębiającą myślą snułem się po korytarzu przez całą pauzę.

Upłynął tydzień i Ninel Fiodorowna powiedziała do nas:

— Przygotowuję się do rozgrywek tenisowych o mistrzostwo naszego miasta... Jeżeli macie ochotę, to przyjdźcie na trening. Spotkamy się na stadionie. Wprawdzie to dość daleko za miastem. Ale jakoś się dostaniecie trolejbusem, a potem tramwajem. Dobrze?

Przyjechali prawie wszyscy. Ninel biegała po korcie w białej koszulce i białych spodenkach.

Niewielu wychowawców odważyłoby się biegać w obecności swych uczniów w takim stroju. Ona się odważyła. Ponieważ była młoda i czarująca!

Dając wyraz naszym uczuciom, darliśmy się w niebogłosy: „Ninel Fiodorowna! Ninel Fiodorowna!"

— Pierwszy raz słyszę, żeby kibice tak oficjalnie wywoływali swoje bożyszcze — zauważył pewien starszy pan w kapeluszu, siedzący przed nami.

W kilka dni później zwołano zebranie rodzicielskie. Mama i ojciec byli tego wieczora zajęci. Poszedł więc mój starszy brat Kostia. Nie pierwszy już raz bywał na takich zebraniach.

Nie położyłem się spać, póki nie doczekałem się jego powrotu. Zawsze mi opowiadał z detalami, co mówili rodzice, a co nauczyciele. To było interesujące!

Kiedy wrócił, mama i ojciec byli już w domu.

— No i co? — rzuciłem się do niego.

— Broniłem waszej Ninel!

— Napadali na nią?

— Jeszcze jak!

— Kto śmiał?

— Wasi rodzice... Nie wszyscy, oczywiście... Ale niektórzy.

— Czego od niej chcieli?

— Po pierwsze, że odebrała waszej klasie oblicze, indywidualność. Po drugie...

— Po drugie, on już dawno powinien spać! — przerwał relację ojciec. Uważał, że nie należy w mojej obecności podrywać autorytetu, zwłaszcza nauczycieli.

Kostia machnął ręką.

— No, broniłem jej i koniec.

— Ale w ogóle to ci się podoba? — zapytał ojciec tonem z góry sugerującym odpowiedź. — Podoba ci się, prawda?

— Owszem śliczna dziewczyna — odpowiedział Kostia.

Rozdział IV

w którym jedziemy do starej willi.

NASTĘPNEGO DNIA doświadczone oko mogło niemal bezbłędnie odgadnąć, że poza mną nikt w klasie nie wiedział o tym, co się działo na zebraniu.

„A jednak to lepiej, kiedy na zebrania rodzicielskie zamiast rodziców chodzą bracia — myślałem. — Gdyby ojciec nie przerwał Kostii, dowiedziałbym się o wszystkim do końca!"

Rano przyłapałem Kostię w łazience.

— Powiedz, za co napadli na Ninel?

— Chyba nasz staruszek miał rację, rozpaplesz o wszystkim w klasie. A to taka śliczna i sympatyczna dziewczyna, chciałem powiedzieć...

— Nie pisnę nikomu! Nikomu!

— Już ja cię znam.

Kostia wlazł pod prysznic.

Przed lekcjami podeszła do mnie Natasza Kułagina.

„To już nie pierwszy raz w tym tygodniu! — pomyślałem ze źle ukrywaną radością. — To już nie wygląda na przypadek..."

O, jakże często identyfikujemy nasze pragnienia z rzeczywistością!

— Mama nie była wczoraj na zebraniu — powiedziała Natasza. — Ciekawe, o czym tam mówili.

Życzenie jej było dla mnie rozkazem! Pospieszyłem z odpowiedzią:

— Napadali na Ninel.

— Kto napadał?

— Rodzice. Nie wszyscy, oczywiście. Ale niektórzy...

Usta jej zadrżały. Powiedziała z oburzeniem:

— A inni milczeli?

— Mój brat nie milczał. Wziął Ninel w obronę. Ona mu się bardzo podobała.

— To znaczy, że ma lepszy gust od ciebie.

O,gdyby mogła w tej chwili spojrzeć w lustro, to by zrozumiała, jaki ja mam świetny gust!

— Mama jest chora... — odezwała się znów Natasza. — Ona umiałaby im wytłumaczyć.

— Co jest twojej mamie?! — wykrzyknąłem. — Może potrzebujesz jakiejś pomocy? Rozkaż tylko, powiedz jedno słowo, a zrobię wszystko.

Natasza spojrzała na mnie z lekkim przestrachem. Nawet cofnęła się o krok.

— Czy ty czasem nie jesteś chory?

— O, nie drwij ze mnie! — zawołałem ze źle ukrywaną goryczą i urazą. — Może wystarać się o lekarstwo? Moja ciocia pracuje w aptece i zawsze...

— Mamie zalecono tylko jedno lekarstwo — zupełny spokój. O to lekarstwo twoja ciocia nie może się wystarać. Po prostu nie produkują go w naszej epoce.

Pomyślałem, że tę ostatnią uwagę powinna koniecznie zapisać w swoim brulionie.

„W jakim też nastroju nasza Ninel przyjdzie dziś do klasy — rozmyślałem. — Na pewno nikomu już nie będzie się zdawało, że za chwilę wybuchnie śmiechem. Będzie zdenerwowana. Jak się mamy zachować? Uspakajać ją? Nie, nie wolno. A nuż będzie zupełnie spokojna?"

Ninel Fiodorowna była absolutnie taka jak zawsze.

— Musimy się wspólnie naradzić. Nie wiem, może jakoś po... — możliwe, że nie we wszystkim miałam rację. Acha, o starej willi trzeba pogadać. Obiecałam wam przecież. Odetchniemy świeżym powietrzem, pospacerujemy po jesiennym lesie. Gleb będzie naszym przewodnikiem.

C. d. n.

Tłum. I. PIOTROWSKA
Rys. B. RUTKOWSKA

Rewia mody „Świata Młodych"

W CZYM BĘDZIEMY TAŃCZYĆ?

WIADOMO, że nowoczesna dziewczyna dwudziestego wieku nie traci zbyt wiele czasu na myślenie o strojach, a na towarzyskich spotkaniach raczej błyszczy intelektem, wyróżnia się dobrym wychowaniem, wdziękiem, a czaruje uśmiechem i optymizmem. Sukienka jednak nie jest w tych wypadkach tak zupełnie bez znaczenia. Właściwy strój — dopasowany do wieku, typu urody, sytuacji i okazji — pomaga zachować dobre samopoczucie.

Na zabawach szkolnych obowiązuje oczywiście biała bluzka i granatowa spódniczka, ale na okazje prywatne można sobie strój zmienić. Zastanówcie się więc już wcześniej, w czym będziecie tańczyć, gdy się nadarzy okazja.

Jak zwykle, dajemy wam do wyboru kilka modeli. Chłopców, którzy także upominają się w listach o modele męskich strojów karnawałowych, zawiadamiamy, że znajdą coś dla siebie już w jednym z najbliższych numerów. Tym razem — przepraszamy — pierwszeństwo mają damy.

Bezrękawnik z czarnego lub szafirowego aksamitu i bardzo strojna biała bluzka z tiulu, jedwabiu, żorżety.

Sukienka z tafty lub brokaciku w bardzo delikatny wzorek (może być też z tafty w dużą kratę). Przecięcie poniżej bioder, lekko przymarszczona spódniczka. Wykończenie z szerokiej szarfy na linii marszczenia. Płaska kokarda.

No i oczywiście tak obecnie modne spodnie z tuniczką. Spodnie mogą być uszyte z czarnego aksamitu, tuniczka z jedwabiu lub rypsu. Wykończenie przy szyi i u dołu z frędzelków z włóczki w kolorze spodni.

Spróbuj Rozwiązać

BILETY WIZYTOWE

Z jakich miejscowości przyjechali ci panowie?

W każdym bilecie wizytowym należy poprzestawiać litery w takiej kolejności, by powstały nazwy portów.

Napiszcie, gdzie znajdują się te porty.

Rozwiązania należy przysyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej: Spróbuj rozwiązać.

Za trafne odpowiedzi będzie rozlosowanych dziesięć bonów książkowych po 20 złotych.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

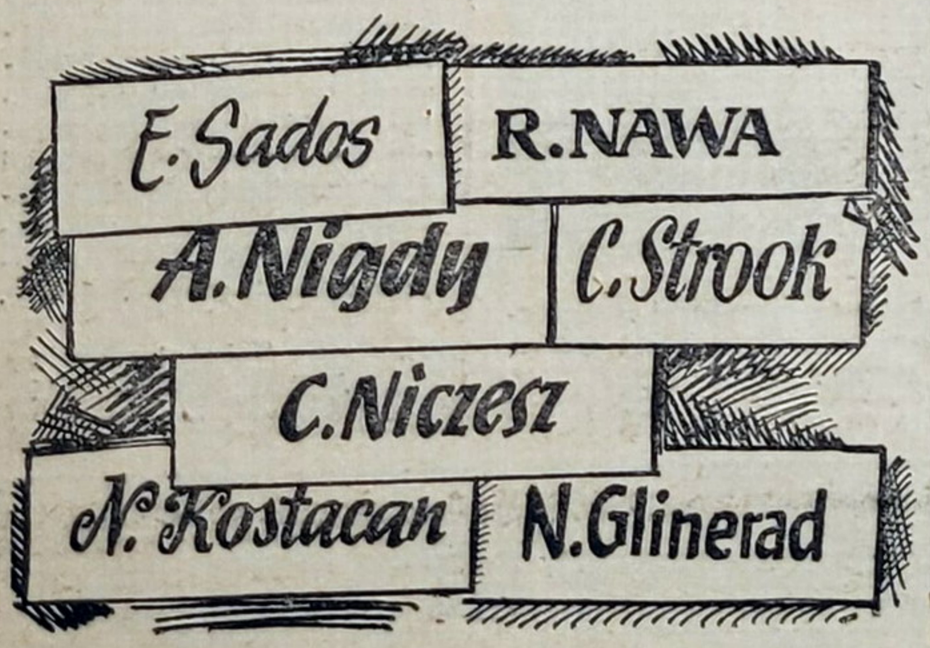

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NRU 92

Poziomo: makatka, abstrakt, neapolitanka, tutka, wigor, bramin, Ararat, start, kusza, sensat, ataman, amper, retor, laryngologia, amaranty, Kolonia.

Pionowo: Maraton, Konstantynopol, trasa, Batumi, Tanew, awangardzistka, taborety, oliwa, batuta, Nankin, Islandia, karpina, melon, rurka, rogal, knot.

Bony książkowe po 20 zł wylosowali:

Tadeusz Czarnik — Kraków — Nowa Huta; **Aniela Filipiak** — Byczyna; **Marek Maślak** — Rawicz; **Tomasz Medyński** — Skarżysko Kam.; **Anna Kraszewska** — Dąbrowa Górnicza; **Henryk Klisik** — Posłowice 88; **Teresa Przewożna** — Łęka Mała; **Grażyna Wierzchowiak** — Batorz; **Krzysztof Wysocki** — Pustków-Osiedle 49/14; **Danuta Zegadło** — Warszawa-Praga.

KONKURSOWY KĄCIK KAROLINKI

PRZYSŁOWIE mówi, że, co dwie głowy, to nie jedna, a jak od kilku dni chodzę po swoim kąciku tam i z powrotem i śpiewam sobie na dowolną melodię:

Co dwie głowy — to nie jedna,
co sześćdziesiąt — to nie dwie...
Tutaj zbliżam się do sedna
i wyjaśniam wszystkim, że:

Na moje pytanie, jak nazwać po polsku włoski koktajl mleczno-owocowy „Frulatti" (nazwa pochodzi od skrótu dwóch słów: „frutta" — owoce i „latte" — mleko) otrzymałam listy od 60 czytelniczek i czytelników, a w listach tych co najmniej 2 kopy propozycji, w większości od chłopców, co mnie bardzo cieszy. A oto fragmenty listów:

„Zrobiłam koktajl mleczno-owocowy według Twego przepisu. Tatuś z bratem długo się po nim oblizywali i mówili: — ależ to pyszne, że buzi dać! — Wtedy pomyślałam, że koktajl powinien się nazywać „Całusek". Uważam, że sama nazwa pociągałaby wszystkich do spróbowania." **(Barbara Czarniak, Wronowo).**

„Wydaje mi się, że wymyśliłem ładniejszą nazwę niż „Frulatti", mianowicie „Majano". Nazwa ta kojarzy się z majem. Maj jest najpiękniejszym miesiącem

w roku, koktajl mleczno-owocowy zapewnia piękną cerę, więc myślę, że „Majano" byłby nazwą najlepszą." **(Kazimierz Drela — Kielce).**

Okazuje się, że nie tylko Kazikowi koktajl mleczno-owocowy kojarzy się z majem, bo oto **Mirka Adamczyk** z Warszawy proponuje „Mlekomaj".

„Mlekomaj" — to połączenie dwu słów. W podobny sposób budowała nazwy większość czytelników. Tak więc znalazły się w moim rejestrze: „Mlesoja" (Mleko + sok + jabłka), „Smakowit" (smak + witaminy), „Mlekosmak", „Mlekołyk", „Mlekowoc", „Palceliż", „Mlekol"...

Były i nazwy innego rodzaju. Na przykład kilka dżentelmenów zaproponowało nazwę „Karolinka", ktoś inny podsunął brzmiącą ze staropolska nazwę „Miesząg", były i takie nazwy jak: „Pupilek", „Mleczna Bajka", „Owocowe Mleczko", oraz nazwy bardzo oryginalne, choć nie mające żadnego związku z koktajlem: „Laser", „Wermiszel", „Gradual", „Gutaperka", „Boazeria", „Herbardium", „Sargasso".

A jaką nazwę wybrało jury, czyli Komisja Konkursowa obradująca w składzie: pani **Bronisława Pietrzkowska** — zasłużona gospodyni domowa, **Wacław Bisko** — dyplomowany smakosz i poeta, **Antoni Strzegomski** — roznosiciel mleka, mgr **Teresa Holzerowa** — językoznawca i ja — **Karolinka?**

Co pięć głów to nie jedna, więc sami rozumiecie, że trudno było dojść do idealnego porozumienia. W związku z tym postanowiono, co następuje:

Dwie pierwsze nagrody w postaci serwisów koktailowych z barwnego szkła otrzymują ex equo za nazwę „Mlekowoc" **Danuta Biesiada** — z Lubania Śląskiego i **Teresa Żurawska** — z Czarnej Białostockiej.

Drugą nagrodę w postaci książki kucharskiej za nazwę „Smakowit" otrzymują bracia **Wiktor i Marek Bernatowiczowie** ze Szklarskiej Poręby.

Trzecią nagrodę w postaci siatki na zakupy za nazwę „Całusek" otrzymuje **Barbara Czarniak** — z Wronowa.

Ponadto prywatne nagrody, ufundowane przeze mnie (Karolinkę), w postaci dwu pięknych warząchwi otrzymują: **Elżbieta Lipska** — z Bobrowników za nazwę „Palceliż" oraz **Przemysław Deszczyński** ze Śremu za staropolsko brzmiącą nazwę „Miesząg".

Na zakończenie obrad członkowie Komisji Konkursowej wznosili toasty za zdrowie laureatów **mlekowocem, smakowitem, całuskiem, palceliżem i mieszągiem**, a ja wzniosłam następujący okrzyk:

Niech nam sto lat żyją
pomysłowe głowy,
które chrzciły koktajl
mleczno-owocowy!

KAROLINKA

DOKOŃCZENIE ZE STRONY PIERWSZEJ

UCIECZKA „ORŁA"

*

Tym samym kursem co „Orzeł" wchodziłem niedawno do Tallinna na pokładzie radzieckiego trałowca wojennego „Komsomolec Estonii". Okręt przycumował do kei w basenie pasażerskim. Serdeczne powitania, kwiaty, uśmiechy dziewcząt, gorące uściski rąk. I ogromna niespodzianka! Na nas — polskich dziennikarzy, oczekiwał w porcie estoński artysta-plastyk, p. Olev Eensalu. Od niego to usłyszałem opowieść o przymusowym pobycie „Orła" w Tallinnie.

*

Miałem wtedy 15 lat i mieszkałem w rybackiej wiosce na półwyspie Palassaar — opowiada pan Olev. Tej nocy, a było to 14 września 1939 r., wypłynęliśmy z ojcem małą łódką na połów. Na redzie zamajaczyła przed nami w ciemności sylwetka jakiegoś okrętu.

— To nasza łódź podwodna — powiedział ojciec i skręcił ster w lewo. Nad ranem wróciliśmy do wioski.

Wypiłem szklankę mleka, chwyciłem teczkę i wskoczyłem do motorowej łódki. Był już najwyższy czas na lekcje. A szkołę miałem w centrum miasta. Po drodze, którą odbywałem motorówką, w odległości pół kilometra od naszego półwyspu zobaczyłem znów ten okręt. — Przecież to nie jest okręt estoński — stwierdziłem. — Ojciec się pomylił.

Zawróciłem do wioski. W domu miałem niemiecką książkę — ilustrowany katalog okrętów wojennych różnych państw. Od dawna okręty stanowiły moje życiowe hobby, więc dzięki oglądanym setki razy zdjęciom znałem na pamięć sylwetki okrętów różnych bander i ich dane techniczne.

Wyszedłem nad brzeg — porównałem sylwetki. Ależ to jest polski okręt podwodny „Orzeł"! Ojciec jednak nie dał mi wiary, twierdząc, że to niemożliwe, podobnie wyśmiali mnie koledzy w szkole, kiedy pochwaliłem się swoim odkryciem.

Dopiero dwa dni później dzienniki potwierdziły, że miałem rację. Ojciec miał znajomości w porcie, więc ubłagałem go, abyśmy obejrzeli ten okręt z bliska.

„Orzeł" stał wówczas w basenie zwanym dziś Minyj Gałan. Był już internowany. — Niemcy bowiem, dowiedziawszy się o pobycie polskiego okrętu w estońskim porcie, rozpoczęli naciski na władze Estonii, aby uwięziły „Orła" w porcie. Po kilkunastu godzinach dyplomatycznych dyskusji Estonia w obawie przed konfliktem z hitlerowskimi Niemcami złamała postanowienia międzynarodowego prawa morskiego i przystąpiła do internowania jednostki.

„Orła" ogołocono z wszelkiego sprzętu nawigacyjnego, map morskich i części uzbrojenia. Wykręcono zamki do dział, zarekwirowano 14 torped. Załogę postawiono w stan aresztu, zabroniono jej opuszczać okręt. Wokół stojącego w porcie „Orła" rozstawiono liczne posterunki wartownicze.

Mimo to, dzięki znajomościom ojca, udało się nam wejść na pokład okrętu. Do dziś pamiętam nie ogolone twarze polskich marynarzy, którzy częstowali mnie cukierkami. Byłem wstrząśnięty ich losem, ale oni pocieszali mnie, mówiąc, że wszystko będzie dobrze.

18 września wypłynęliśmy z ojcem na nocny połów. Około 3 nad ranem, w zupełnej jeszcze ciemności, w porcie rozbłysły reflektory i rozległy się strzały. Tuż obok naszej łodzi usłyszeliśmy szum silników. Zaraz potem, w bezpośredniej, niebezpiecznej dla nas bliskości, przeszedł na pełnych obrotach zaciemniony okręt. Wiedziałem od razu, że to „Orzeł" wyrywa się na wolność.

Kiedy z wysp Aegna i Naissaar odezwały się baterie 305-milimetrowych dział, drżałem o los dzielnych polskich marynarzy. A później, gdy prasa z konsternacją doniosła o śmiałej ucieczce, byłem dumny z wyczynu Polaków, których przecież poznałem wcześniej i za których trzymałem kciuki tamtej nocy — kończy swą opowieść pan Olev Eensalu.

*

Oto centrum Tallinna, stolicy dzisiejszej Estońskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, portu leżącego nad Zatoką Fińską. W Tallinnie właśnie poznałem pana Oleva i zanotowałem jego opowieść o ucieczce „Orła".

Pan Olev Eensalu, estoński artysta-plastyk, jako 15-letni chłopak był naocznym świadkiem brawurowej ucieczki „Orła" z Tallinna.

PRZYPOMNIJMY:

Mimo niesprzyjających warunków, braku oprzyrządowania, broni i amunicji, załoga „Orła" przedsięwzięła szaleńczą próbę ucieczki z portu. Marynarze polscy obezwładnili w nocy posterunki wartownicze, poprzecinali kable telefoniczne i elektryczne w porcie i ostrzeliwani przez estońskie baterie — wyszli w morze.

Blisko dwa tygodnie ORP „Orzeł" znajdował się na Bałtyku, ostrzeliwując napotkane okręty nieprzyjacielskie uratowanymi od rekwizycji nielicznymi torpedami. W warunkach całkowicie utrudnionej nawigacji, bez map, na podstawie ręcznie sporządzonych szkiców, załoga „Orła" kluczyła po Bałtyku. Wreszcie dały o sobie znać braki paliwa i żywności. W tej sytuacji dowództwo okrętu podjęło słuszną decyzję opuszczenia basenu Morza Bałtyckiego

W bezprzykładnym rejsie „Orzeł" przepłynął szczęśliwie cieśniny duńskie i kończąc swą ucieczkę wszedł 14 października 1939 roku do brytyjskiego portu w Rosyth.

Po przeprowadzeniu remontu w szkockim porcie Dundee, ORP „Orzeł" rozpoczął pół roku trwającą służbę na Morzu Północnym. 8 kwietnia, zatapiając niemiecki transportowiec „Rio de Janeiro", polski okręt pierwszy dał znać światu o hitlerowskiej inwazji na Norwegię. Bohaterska załoga okrętu podwodnego nie doczekała jednak zakończenia II wojny światowej. Pod koniec maja 1940 r. ORP „Orzeł" wyszedł na swój ostatni patrol, z którego już nie wrócił do bazy. Okoliczności jego zaginięcia do dziś pozostają tajemnicą. Jako datę zatopienia „Orła" przyjęto dzień 8 czerwca 1940 r.

Tekst i zdjęcia
JERZY KASPRZAK

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA i SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — W-wa, ul. Wspólna 61. Tel. 21-21-29. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", W-wa, Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna zł 12.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24.
Zam. 5066 P-34